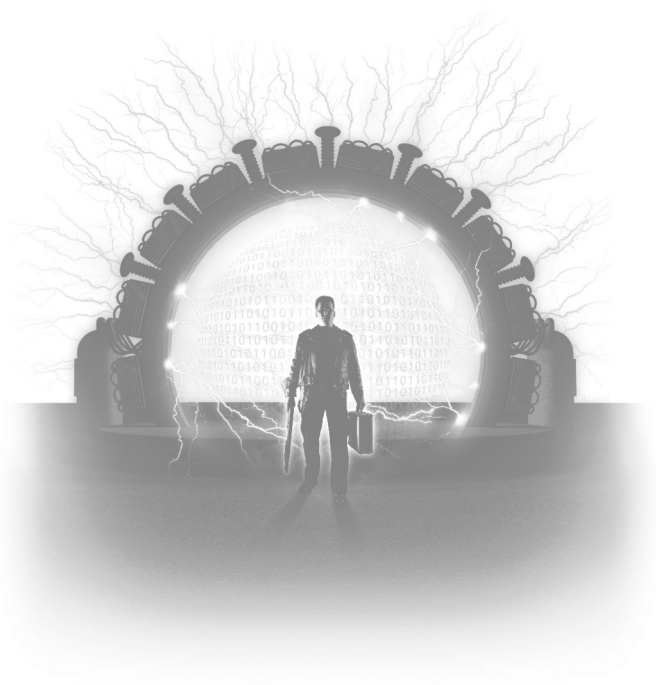


Rafał Kosik

Nowi Ludzie



powergraph

Warszawa 2013

Copyright © 2000-2013 by Rafał Kosik
Copyright © 2013 by Powergraph
Copyright © 2013 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na I okładce: Rafał Kosik
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-94-3
Printed in Poland, EU

Trzy cyfry, tysiąc kombinacji

Pałac Kultury, pozbawiony iglicy i części wieżyczki, osmalony, nie wyglądał już tak reprezentacyjnie, ale wciąż stał. Al-Kaida i spółka nie dały mu rady, podobnie jak wcześniej dwa pokolenia działaczy na rzecz jego rozbiórki. Terrorysty postanowili powtórzyć scenariusz, uznany za niemożliwy do powtórzenia, ale porywając polski samolot, nieco się przeliczyli. Widać nie znali naszej historii, pełnej romantycznych, choć z góry skazanych na klęskę zrywów powstańczych. Połowa pasażerów rzuciła się na oniemiałych terrorystów, gdy tylko ci próbowali zmusić ich do współpracy. Było jednak za późno – obaj piloci już nie żyli, a ostatni z terrorystów zdołał dokończyć zwrot na centrum Warszawy. Z Okęcia do centrum samolot leci minutę. To o wiele za krótko, by ktokolwiek na ziemi mógł zareagować. Pierwszy myśliwiec pojawił się nad miastem dwadzieścia minut później, gdy płomień już przygasał. Tę historię znali wszyscy: Michał Lewicki, odznaczony pośmiertnie Orderem Orła Białego, zdołał dopaść sterów i pociągnąć je do siebie na kilka sekund przed uderzeniem. Dzięki temu Airbus uderzył tylko w wieżyczkę Pałacu. Płonące szczątki spadły na plac Defilad i kryty blachą bazar. Mniejsze odłamki dolatywały aż na plac Bankowy. Przeżyła tylko jedna pasażerka, kilkunastoletnia dziewczyna, lecąca z rodzicami na wakacje. Fotel, do którego była przypięta

pasami, upadł na dach jednej z blaszanych hal. Dach zamortyzował upadek i dziewczyna wyszła z tego z urazem kręgosłupa i kilkoma zadrapaniami. Była córką Michała Lewickiego, miała na imię Anna i siedziała teraz obok mnie, na siedzeniu obok kierowcy w moim Mercedesie. Spała.

Ruch był niewielki, mało kto potrafił zdobyć paliwo, ale i tak dotarcie ze Śródmieścia na Żoliborz trwało niemal godzinę. Musiałem omijać wyrwy w jezdni, nieuprzątnięty gruz i wypalone wraki samochodów. Było parę szczególnie niebezpiecznych miejsc, gdzie ktoś mógł przygotować zasadzkę, choćby po to, by zdobyć samochód albo, co bardziej prawdopodobne, paliwo i wyposażenie. Staralem się przejeżdżać tamtędy jak najszybciej. Staralem się też nie podróżować często tymi samymi drogami, a najlepiej nie podróżować wcale.

Na wertepach przed rondem Babka Anna obudziła się. Odgarnęła różowoczerwone włosy z czoła i uśmiechnęła się do mnie. Uosobienie kobiety idealnej. Nawet nie mam na myśli urody, choć była ładna i zgrabna. To jej charakter sprawiał, że okazała się idealną partnerką na ciężkie czasy. Miała teraz dwadzieścia pięć lat, nieco mniej ode mnie, i chyba nie potrafiłem już sobie wyobrazić bez niej życia.

Czyż to nie cud? Kiedy to wszystko się zaczęło, pracowałem w sklepie z tytoniem, w jednej z tych paskudnych blaszanych hal pod Pałacem Kultury. Nie słyszeliśmy samej eksplozji, wewnątrz było za głośno, a dopiero łoskot rozdzieranych blach dachu. Oczywiście nikt nie wiedział, co się dzieje. Coś ciężkiego uderzyło w dach wprost nad naszym sklepem i, ciągnąc za sobą długi płat blachy, wylądowało pół metra ode mnie, rozwalając doszczętnie gablotę z drogimi fajkami. To była ona, wciąż przypięta do fotela. Udzieliłem jej pierwszej pomocy, to znaczy zatakowałem krwawienie. Ktoś chciał ją wyciągać z fotela, ale nie pozwoliłem na to. Gdyby ją wtedy wyjęli z tego fotela, pewnie jeździłaby na wózku.

Spodobała mi się, choć za wcześnie było mówić o czymś więcej. Odwiedziłem ją raz w szpitalu i pewnie na tym by się skończyło. Spotkaliśmy się jednak przypadkiem, pół roku później, i już się nie rozstaliśmy. Cud.

Przesunęła palcami po drewnopodobnej listwie na drzwiach. Zatrzymała się przy rysie nad klamką. Pamiętałem ten ruch, robiła to mimowolnie.

— Którędy jedziemy? — zapytała, patrząc na mnie. Miała ładny głos.

— Jaki kolor?

— Różowy.

Więc do Marymonckiej; alternatywą była Powązkowska. To taka zabawa, choć na poważnie – tak trzeba, dystans do rzeczywistości jest konieczny. Kolorami oznaczałem w myślach możliwe drogi dotarcia w jakieś miejsce, a ona wybierała. To dobre, żeby potem nie mieć jakiegoś chorego poczucia winy. Jeśli coś się stanie – los tak chciał. A stać się mogło wiele, szczególnie po splądrowaniu magazynów wojskowych. Wiedziałem, że samochód przetrzyma ostrzał z broni maszynowej, ale już nie z granatnika. Zresztą nie znałem się na broni. Jak dotychczas nikt nie zaatakował mnie niczym więcej niż jakąś starą policyjną Beretta. Kilka kolejnych wgnieceń na błotnikach naprawdę mnie nie ruszało.

Atak w Warszawie był tematem newsów na całym świecie, ale tylko przez jeden dzień. Nazajutrz identyczny scenariusz powtórzył się bowiem w Niemczech. Jeden samolot spadł na centrum Berlina, a dwa we Frankfurcie. W Barcelonie, Madrycie i Rzymie wybuchło kilkanaście ciężarówek wyładowanych tonami trotylu, zamieniając spore obszary tych miast w zgłiszcza. Najgorzej dostał Paryż, gdzie detonowała niewielka głowica nuklearna. Kilkanaście milionów muzułmanów to jednak spore podziemie. Jedyne Brytyjczycy pokazali, co warte są ich służby specjalne. W londyńskim City udało się rozbroić osiem z dziewięciu bomb w furgonetkach. Manchester zaliczył tylko jedną poważną

eksplozję. W Rosji za to udały się chyba wszystkie planowane zamachy, topiąc pozbawiony rządu i parlamentu kraj w chaosie. Zza oceanu dochodziły niewiele lepsze informacje. W nabrzeże Manhattanu wbił się zbiornikowiec z gazem i eksplodował, powodując katastrofę nieznacznie tylko mniejszą od tej z 11 września 2001 roku. Duże ładunki zdetonowano również w kilku większych miastach USA. W Chicago ktoś rozpylił nowy szczep bakterii grypy, ale ten ktoś musiał być skończonym kretynem, gdyż zdrowy człowiek tę chorobę zwalczał nawet bez pomocy antybiotyków.

Trwało kilka dni, nim zachodnie mocarstwa pozbierały się i przypuściły kontratak. Tym razem Francja nie stchórzyła, Niemcy nie zaślaniały się prawami człowieka, a Unia Europejska nie ugrzęzła w biurokratycznej niemocy. Wściekłość Zachodu zogniskowała się na kilku zdecydowanie niedemokratycznych państwach arabskich, zamieniając je w zamknięte strefy okupacyjne. Potem pancerny grzebień przeczesał Afrykę, zamazując granice. W Europie zaczęły się deportacje, a islam stał się religią zakazaną. Starcie Zachodu z Islamem zakończyło się po miesiącu – państwa, w których rządziły religia i ideologia, zostały czasowo spacyfikowane. Wszyscy czuli wtedy ogromną ulgę, że to już skończone. Myśleliśmy, że wszystko wróci do normy, ale wydarzenia następnych tygodni rozwiały złudzenia.

Tej szybkiej wojny nie prowadzono w sposób humanitarny. To była prawdziwa wojna, nie jakaś tam kolejna inwazja stabilizacyjna. Telewizja zaczęła też pokazywać, co dzieje się w strefach okupacyjnych. Szybko okazało się, że nic nie pozostanie takie, jak przedtem. Zmieciono z powierzchni ziemi kilkadziesiąt milionów fanatyków religijnych, ale jednak ludzi. A to już nie były te czasy ani ci ludzie, którzy szli na śmierć z imieniem wodza na ustach; tego samego, który ich tam posłał. Teraz wymagano wyjaśnień. Szaleniec podpalił szkołę, policja go zastrzeliła. A może nie powinna? Może ten człowiek potrzebował psy-

choanalytyka? Rozpad tożsamości Zachodu był już za daleko posunięty, by krótka wojna mogła go trwale scalić z powrotem. Patriotyzm nie był w modzie, w modzie były wszelkie dystopie. Panowała dekadencja, dyskutowano wiele o sprawiedliwości, równości i tolerancji. Mało kto zauważał, że świat, który mógł gwarantować trwanie tych idei, właśnie się wali.

Pamiętam, że wtedy sam miałem problemy z kopnięciem psa, który usiłował mnie ugryźć. Tak nas wychowywano – nadstawiaj drugi policzek, a potem podaj do sądu. Teraz sądów już nie było. Dziś byłbym gotów zastrzelić człowieka, który by wtargnął do mojego domu. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Ludzie masowo zaczęli przechodzić na islam, przez jakieś zbiorowe wyrzuty sumienia, solidarność z uśmierconymi w Iranie czy Libii. Wszyscy mieli wątpliwości, po fakcie. Czy trzyletnie dziecko z fotografii w „National Geographic” też było wrogiem?

To sumienie jednak nie rozwaliło systemu – inercja była zbyt silna. Przetrwałby z pewnością wiele więcej. Gdyby nie Lekarstwo.

Od dawna było jasne, że Zachód rozwali się sam, od wewnątrz, przerostem luksusu, nadmiarem wolności obywatelskich, przekraczając granice absurdu tolerancją i tą nieustanną fontanną nieograniczonych możliwości, a tak naprawdę – przede wszystkim słabością więzi społecznych i alienacją jednostek. I tak się stało. Nie załatwił nas komunizm, nie zdeptali ekonomicznie Chińczycy, islam też przeżyliśmy. Załatwiliśmy się sami, rutyną komercjalizacji i nazbyt silną wiarą we własne możliwości. No i chciwością.

Fundamentalisci, faszyci, lewacy, anarchiści, ekolodzy, antyglobaliści... Trudno zliczyć tych, którzy chcieli upadku systemu. Pomysłów na to, co potem, nie miał nikt. Zazwyczaj zresztą upadek był celem samym w sobie. Można śmiało przyjąć, że dziewięćdziesiąt procent tych, którzy tego pragnęli, zaczęło

żałować bardzo szybko. Możesz być anarchistą, ale kiedy cię biją i tak wołasz policję. Dziś policji już nie ma. Nie ma też pięciu miliardów ludzi.

Teraz jedno tylko różniło mnie od tych, którzy żyją już wyłącznie w mojej pamięci – ja kilka lat wcześniej nie uwierzyłem w reklamę cudownego lekarstwa na całe zło.

To, co widziałem za oknem samochodu, stanowiło dokładne przeciwieństwo tego, czym miał być świat według prognoz futurystów. Grupa przygarbionych ludzi, okutanych, jakby to była co najmniej jesień, pchała wózki sklepowe załadowane szmatami i jakimś złomem. Często ich widywałem, musieli mieszkać gdzieś koło placu Wilsona. Wpatrzeni tępo w przestrzeń, skupieni na dotarciu do bezpiecznego schronienia. Konwój kloszardów.

Tym razem droga przez Popiełuszki do Marymonckiej okazała się bezpieczna. Potem kilkaset metrów małą, boczną uliczką i brama domu. W świetle prawa nie był moją własnością. Tyle że prawo nic już tu nie znaczyło. Był pusty i się nadawał do spania, więc w nim zamieszkaliśmy. Dwa piętra, garaż, ogród. Ogrodzony solidnym murem. Mogłem wybrać jedno z kilku bezpieczniejszych, strzeżonych osiedli, ale rola mrówki w komunie mi nie odpowiadała. Wołałem polegać na sobie, a miałem ten komfort, że mogłem na sobie polegać. Kiedyś byłem elektronikiem amatorem. Teraz, wbrew pozorom, był to bardzo poszukiwany zawód. Instalowałem i konserwowałem wszelkiego rodzaju systemy bezpieczeństwa. To pozwalało mi funkcjonować na przyzwoitym poziomie. Dbałem też o to, by wszyscy wiedzieli, że systemy projektuję tak, bym sam nie mógł ich rozbroić. To oszczędzało mi stresów związanych z nagabywaniem mnie przez wrogów moich klientów. Oczywiście mój dom również był doskonale zabezpieczony.

Zwolniłem dwieście metrów od bramy i otworzyłem klawiaturę małego laptopa, przytwierdzonego do konsoli centralnej. Na kolorowym wyświetlaczu przejrzałem raporty z domowych sys-

temów ochronnych. Nic, jeśli nie liczyć okna na strychu. Można pominąć, tamten czujnik wciąż nawala. Będę musiał go wymienić. Wolno podjechałem do bramy, upewniłem się, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku, i zdalnie ją otworzyłem. Przesunęła się w bok z cichym skrzypieniem starego silnika. Ten moment zawsze podnosił mi poziom adrenaliny. Wjechałem i zamknąłem ją za sobą. Dopiero kiedy kliknęła blokada, otworzyłem garaż. Pancerne wrota uniosły się, wpuszczając Mercedesa do środka. Uspokoilem się, kiedy wrota ponownie dotknęły ziemi. Drzwi wejściowych nie używałem od kilku lat. Wszędzie jeździłem samochodem, chciałem przecież żyć.

Anna wysiadła pierwsza, obeszła samochód i zaczęła wyciągać z bagażnika zakupy na najbliższe dwa tygodnie. Tak, zakupy. W całym tym bajzlu istniały sklepy, choć zupełnie inne niż kiedyś. Ten, do którego jeździliśmy, był całkiem spory. Dla znajomych, przyjaciół i pracujących dla Szefa. Szefa kilka lat temu nazwano by mafiosem, albo podobnie. Teraz jednak był ośrodkiem władzy i namiastką stabilizacji. System, niezwykle prymitywny, obywatel się bez pieniędzy, nawet bez handlu wymiennego. Pracowałeś dla Szefa, to mogłeś przyjść do sklepu i brać, co potrzebujesz. W rozsądnych granicach, oczywiście – nikt nie lubił pazerności. Nie chciałem mieć kontaktu z mafią, ale jak przyszli, nie mogłem odmówić. To były współczesne elity władzy w tym kraju. Mówiąc „kraju”, mam na myśli Warszawę i okolice w promieniu jakichś stu kilometrów. Tak, przykra sprawa: Polski już nie było, a ściślej mówiąc, rozpadła się na małe pseudopaństwa z centrami w większych miastach. Gdańsk, Kraków, Wrocław... Nawet nie wiem, jak wyglądała teraz mapa, gdzie przebiegały granice. Od dawna nie oddaliłem się od domu na więcej niż kilkanaście kilometrów. Tak bardzo się cofnęliśmy... Jeszcze kilka lat temu budowaliśmy zjednoczoną Europę, a teraz Żoliborz grodził się zasiekami od Woli. W samej

Warszawie istniało kilka konkurujących grup interesów i tylko Szefer trzymał to wszystko w ryzach.

Zakupów nie było wiele. Zabraliśmy się z torbami za jednym razem, myśląc już o kolacji. Drobne przyjemności wewnątrz koszmarne snu.

O tym, że nie wszystko jest w porządku, przekonała mnie zimna lufa przytknięta do mojej skroni. Nie panikowałem, to ostatnia rzecz, jaką warto robić w takiej chwili. Oceeniłem szanse obrony na zero koma zero procent. Siła spokoju. Anna stała przy lodówce, trzymana przez potężnego mężczyznę, który wciskał jej srebrną lufę w szyję. Trzeci mężczyzna wziął od niej papierowe torby z zakupami i odstawił je na blat pod oknem zasłoniętym pancerną roletą. Potem zrobił to samo z moimi siatkami. Popchnęli nas, niespodziewanie delikatnie, pod ścianę. Anna zacisnęła palce na mojej dłoni. Zauważyłem, że z blatów zniknęły wszystkie ostre przedmioty. Trzej mężczyźni ustawili się w strategicznych punktach pomieszczenia, opuścili broń, ale nie zdjęli palców ze spustów. Nie znałem ich, nie byli stąd. To nie wrożyło niczego dobrego.

Nim zdążyłem o cokolwiek zapytać, do kuchni wszedł czwarty mężczyzna. Wysoki i szczupły pięćdziesięciolatek z siwymi włosami. Władczy typ. Palił jedno z moich cygar, ale uznałem, że w obecnej sytuacji lepiej nie zwracać mu uwagi. Wydmuchnął dym; widać było, że umie palić.

— Schowajcie broń — polecił pozostałym. Mimo krótkiego zawahania, wykonali rozkaz. — To nie jest napad — zwrócił się do nas. — Nie chcemy was zabić ani okraść. Chcemy porozmawiać.

— Jeśli chodzi o moje systemy — odzyskałem głos — to nie zostawiam furtek. Nie mogę —

— Nie chodzi o pana systemy — przerwał mi zdecydowanie, ale bez podnoszenia głosu.

Powiedział „pana”. To zupełnie mnie zaskoczyło. Ale i tak najdziwniejsze wydawało mi się to, że oni w ogóle tutaj byli.

Dom potrafił się sam bronić. Nie włączały się żadne syreny, nic z tych rzeczy – dom zabijał intruzów. Jednak ci czterej wyglądali na całkiem żywych. W mojej głowie odbywał się teraz galop myśli. Gdzie zostawiłem lukę? Jak obeszli wszystkie zabezpieczenia? Czy to okno na strychu?

– Chodzi o panią – dokończył mężczyzna.

Spojrzałem na Annę, a ona na mnie. Nic z tego nie rozumieliśmy. Nie zajmowała się niczym konkretnym. Nie miała żadnych specjalnych umiejętności. Żyliśmy razem, dbała o dom. Tylko tyle.

– Przejdźmy do salonu – powiedział, wskazując drogę. W jakiś sposób był pewien, że nie będziemy próbować żadnych sztuczek.

Drgnąłem i pociągnąłem za sobą dziewczynę. Zrobiliśmy kilka niepewnych kroków i usiedliśmy na skórzanych kanapach – były w tym domu, kiedy go zająłem.

– Chcemy tylko porozmawiać – powtórzył gość, siadając naprzeciwko. – Niezależnie od wyniku tej rozmowy nic się wam nie stanie. Porozmawiamy, potem pożegnamy się i wyjdziemy, a pani wszystko sobie przemyśli.

– Kim panowie są? – zapytałem ostrożnie. – I o co chodzi?

– Jestem reprezentantem Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej, którego celem jest ponowne zjednoczenie i odrodzenie Polski. – Uśmiechnął się, jakby oznajmił, że chce nam sprzedać nowy odkurzacz. – Macie państwo jakieś plany na przyszłość? Co zamierzacie robić za pięć lat?

– To samo co dziś. – Wzruszyłem ramionami. – Spokojnie tu sobie żyjemy. Dalekie to od ideału, ale mogło być gorzej.

– Myślicie, że ten stan jest stabilny? Nie jest. Zapasy konserw, które jecie – kciukiem wskazał kuchnię – muszą się skończyć. Wszystko się skończy i ten mafijno-feudalny system upadnie. Nie ma już produkcji przemysłowej. Głód jest silniejszy od strachu, więc nie da się utrzymać porządku metodami Szefa.

Jakoś nigdy o tym nie myślałem w ten sposób...

— Zostanie mięso na bazarach, owoce, chleb — ciągnął. — Ale nie będziecie mieli czym płacić. To następny etap: prawdziwy głód. Tradycyjne rolnictwo nie zdoła wyżywić pozostałych przy życiu ludzi. Bez nawozów sztucznych, przetwórstwa, konserwantów. Zasoby wszędzie się skurczą. Nasi sąsiedzi — Rosjanie, Niemcy, organizują się. Kto wie, ile czasu minie, nim zafundują nam nowy rozbiór. Można być pewnym, że organizują się również inni, którzy mogą się wkrótce stać naszymi sąsiadami.

— Cóż my możemy na to poradzić? — zapytałem.

— Tak naprawdę chodzi tylko o panią. — Wskazał Annę. — Nazywa się pani Anna Lewicka, prawda? Chcemy, żeby pani dostarczyła ważne dokumenty. Do Krakowa.

Do Krakowa. To brzmiało niemal jak „na Księżyc”. Nie miałem pojęcia, co się dzieje poza granicami Warszawy, w innych miastach. Czy istniały jeszcze drogi międzymiastowe? Czy można było tak zwyczajnie pojechać do Krakowa?

— Czemu akurat tam? — zapytała zaskoczona. — I czemu ja?

— Na terenie byłej Polski zaznaczają się wyraźnie strefy wpływów, wokół wielkich miast właśnie. Trzeba te mniejsze struktury przekształcić w jedną, większą, silną Rzeczypospolitą. Jeśli nie uczynimy tego w porę, powstaną słabe, wzajemnie zwalczające się semiksięstwa i ten układ zacznie się utrwalac. Rozpad dzielnicowy, osłabienie i wreszcie upadek pod obcym butem. Rozmowy władz Warszawy z władzami Krakowa są bardzo zaawansowane. Tymczasowy Rząd Polski pełni jedynie rolę mediatora. Nie chcemy się angażować bezpośrednio, to bardzo delikatna materia. Kurierem powinien być ktoś, kogo wszyscy będą darzyć szacunkiem i zaufaniem.

Dziewczyzna patrzyła na niego, niewiele rozumiejąc, więc wyjaśnił:

— Pani ojciec to przecież ostatni bohater Rzeczypospolitej; trudno o osobę wątpiącą w jego zasługi. A pani nosi jego nazwi-

ska. Dlatego właśnie to pani powinna rozpocząć proces odrodzenia RP. Chodzi o symbol. Ludzie w Krakowie będą panią szanować.

Cóż za naiwność! Kogo dziś obchodził ostatni bohater? Zastanawiałem się właśnie, jak w najbezpieczniejszy sposób pozbyć się natrętnych gości, gdy Anna niespodziewanie zapytała:

— Ile mam czasu na decyzję?

— Do jutrzejszego wieczoru. — Przedstawiciel chyba się ucieszył z jej reakcji. — Moi ludzie zapewnią pani bezpieczny transport do Krakowa.

— Jeśli się zdecyduję — objęła moje ramię — to pojedę z nim.

Drgnąłem. To jakiś absurd! Nie, nie puściłbym jej samej, ale też nie zamierzałem się stąd nigdzie ruszać. Miałem tu ładnie poukładane życie; naprawdę wielu mogło mi tylko zazdrościć. Rzucać to wszystko w imię jakichś fikcji narodowych?

— Jeśli to jest warunek... — gość zastanowił się — niech i tak będzie. Dostaniecie eskortę, zapas paliwa i prowiant na drogę.

— Słowem, nie zamierza pan nam płacić — stwierdziłem.

— Chodzi o Polskę. Jeśli nie zrobicie tego z pobudek patriotycznych, to żadne pieniądze niczego tu nie zmienią.

„Pan” i „pani” szybko wyszły z użycia, ale i tak nie było źle. Zazwyczaj moi klienci zaczynali od gróźb, by dopiero potem przejść do rzeczy.

— Jeszcze się nie zgodziliśmy — przypomniałem.

— Będziemy tu jutro o tej samej porze. Do tego czasu musicie podjąć decyzję.

* * *

Po zamachach w Madrycie, w 2003 roku, Hiszpanie z podkulonym ogonem wycofali się z okupowanego wówczas Iraku. Polska, po zamachach w warszawskich i wrocławskich centrach handlowych, zwiększyła dwukrotnie liczbę żołnierzy w różnych misjach stabilizacyjnych. Wtedy naprawdę byłem dumny, że

jestem Polakiem. Nie stchórzyliśmy jak inni, nawet jeśli tchórzostwo byłoby rozsądne. Byliśmy Polakami! To naprawdę musi siedzieć gdzieś głęboko w naszej naturze, choć ja w sobie nie potrafię odnaleźć powołania do straceńczej i beznadziejnej walki. Na pewno nie dziś. Ale może w innych okolicznościach? Może to jest jak program ukryty w podświadomości? Niestety, my Polacy potrafimy dokonać cudów, a potem całkowicie zmarnować ich efekty; przelać morze krwi, a potem upić się do nieprzytomności i siedzieć w ośpieniu. Polska – kraj, który uwolnił Europę od komunizmu. I co? I nic, sukces rozmięziony na drobne. Zawsze tak było: kilkanaście lat wolności i drugie tyle wojen, niewoli, zaborów. Potem niepodległość i znów obcy nas tłuką ze wszystkich stron. Jakbym mieszkał w mrowisku uparcie budowanym na środku ruchliwego skrzyżowania. Kiedy byłem mały, w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, dziadek mawiał mi czasem: „Cieszymy się tą chwilą wolności, którą nam dano dziwnym zrządzeniem losu”. Nie rozumiałem, o czym mówi. Wszystko wokół było pewne jak granit. Śniadanie, szkoła, obiad, kolacja. Regał z zabawkami w hipermarkecie. Weekend i wakacje. Nienaruszalne podstawy bytu dziecka.

Polska... Polska... Próbowałem bezskutecznie wychwycić jakieś uczucia związane z tym słowem. Polska...

Za rondem skręciłem we wjazd do dawnego centrum handlowego, które – na przekór wszystkiemu wokół – nazywało się Arkadia. Stalowa kula przedstawiająca Ziemię spadła z wieży dekoracyjnej i leżała teraz wgnieciona przed głównym wejściem. Zjazd do garażu był zawalony gruzem, ale wcześniej odchodził w bok rodzaj rampy, niezbyt starannie wymurowanej nad skarpką. Rampa kończyła się na wprost sporego czarnego prostokąta, jakby przylepionego do betonowej ściany. Zatrzymałem się z kołami na metr przed przepaścią i zatrąbiłem. W małym okienku, niemal szczelinie strzelniczej, coś się poruszyło. Potem szcęknęły zaczepy i czarna płaszczyzna oderwała się od ściany.

Wolno obróciła się na zawiasach, zapiszczała i opadła, opierając się na rampie. Rozwiązanie jak ze średniowiecznego zamku, ale przecież do średniowiecza właśnie zmierzaliśmy. Wolno wjechałem na pomost – zatrzeszczał – i zanurzyłem Mercedesa w mrocznym tunelu. W bagażniku brzęczały trzy butelki wódki, wymienione za warzywa na Wolumenie. Przekreśliłem włącznik świateł. No tak, to też wymagało naprawy – zapalił się tylko jeden reflektor. Zakreśliłem raz, drugi, wjechałem do sporej hali, królestwa Franka, i wyłączyłem silnik. Stary Mercedes 124. Solidna konstrukcja i układ zasilania silnika bez śladu elektroniki. To duży plus, nikt nie zatrzyma takiego samochodu zdalnie wirusem ani mniej finezyjnym impulsem EMP. Nie zatrzyma go nawet, rozkładając matę elektryczną w poprzek drogi – zakładając oczywiście, że komukolwiek chciałoby się tak trudzić, żeby mnie zatrzymywać. Genialnie prosta konstrukcja wolnossącego diesla do działania potrzebuje jedynie dopływu paliwa i chłodzenia. Wadą samochodu, przynajmniej w warunkach, w jakich przyszło mi go użytkować, był napęd na tył i niski prześwit. To drugie prostym sposobem udało mi się nieco poprawić – zainstalowałem podkładki pod sprężynami, podnosząc podwozie o cztery centymetry. Wszystko klekotało i skrzypiało, ale działało. To ważne, bo awaria w większości rejonów tego miasta oznaczała poważne kłopoty. Problem części zamiennych na razie nie istniał. Wystarczyło odwiedzić Franka w jego królestwie lub przejechać się z narzędziami po parkingach. Z kilku względów wolałem to pierwsze rozwiązanie.

Franka nikt nie ruszał, bo facet miał trzy bardzo przydatne cechy: po pierwsze potrafił naprawić wszystko, co można nazwać samochodem, po drugie nie zadawał zbędnych pytań, a po trzecie nikomu nie odmawiał. Dlatego właśnie żył i miał się całkiem nieźle, strategia taka jak moja. To właśnie Frank pomógł mi przerobić starego Mercedesa w wehikuł przystosowany do

współczesnej miejskiej dżungli, czy może lepiej powiedzieć „miejskiej pustyni”.

Rozejrzałem się po hali. Sterty części zamiennych, nawet kompletne silniki i pogięte fragmenty karoserii wszelkich marek. Kilka ścianek działowych wyburzono, nie zawsze dokładnie. Kiedyś był to jakiś sklep, zostały nawet niektóre regały i szyld, część przerobiono z dawnego hallu i schodów. Dalej wszystko zamurowane. W innych częściach budynku też mieściły się jakieś „punkty usługowe”, ale nie wiedziałem jakie. Mall wciąż pełnił swoją funkcję.

Grubas w poplamionym i podartym kombinezonie wysunął się spod rozbebeszonego Volkswagena Transportera i z wysiłkiem wstał. Wytarł ręce w brudną szmatę i odrzucił ją precz. Uśmiechnął się szczerze na mój widok. W gruncie rzeczy Frank był miłym facetem. Pociągał nieco lewą nogą. Cóż, takie czasy. Jak zerwiesz ścięgno, będziesz kulał do końca życia.

— Czyściutki jak zawsze — rzucił zamiast przywitania, wyciągając do mnie wciąż usmoloną łapę. Uściśnąłem ją, czując, jak przeskakują mi kostki.

Rzeczywiście, ubranie miałem czyste jak na obecne standardy. W domu, z niewiadomych przyczyn, poprzedni właściciel zgromadził spory zapas proszku do prania. Przyznaję, artykuł nie pierwszej potrzeby, ale zawsze przyjemniej mniej śmierdzieć.

Anna też wysiadła i uśmiechnęła się do Franka. Rozłożył ramiona, jakby chciał ją wyściskać, ale opanował się. Cmoknął ją tylko w policzek.

— Przejrzyj go dokładnie — powiedziałem, klepiąc maskę. — Tylko przypadkiem go nie umyj!

— Dłuższa podróż? Ursynów? Kabaty? Niebezpiecznie tam ostatnio...

— Dalej. — Nie uwierzyłby, gdybym powiedział jak daleko.

— Rozumiem... Nie licz na to, że złożę kwiaty na twoim grobie. Pewnie nawet nie będzie żadnego grobu.